

Rozmyślania



Fot. Andrzej Walter

O kulturę języka na co dzień

Kultura życia codziennego nie należy zapewne do pojęć o ostro i precyzyjnie zarysowanym zakresie znaczeniowym. Niemniej jednak wszyscy intuicyjnie rozumiemy, co to określenie oznacza, i chyba w dużym stopniu byłibyśmy zgodni co do tego, jakie elementy się na nie składają. Nie ulega chyba wątpliwości, że kultura osobista przejawiająca się w życiu codziennym musi obejmować czystość ciała (a więc regularne porządne mycie, codzienne golenie itp.), schludny ubiór, grzeczność i takt w obcowaniu z bliźnimi. A że najczęstszą i najważniejszą formą obcowania międzyludzkiego jest komunikacja językowa – kultura życia codziennego musi obejmować także kulturę języka.

Andrzej Dębowski

Tymczasem wystarczy przejść się ulicą, posiedzieć na ławce w parku czy na skwerze, przejechać się tramwajem, autobusem czy pociągiem, zwłaszcza podmiejskim – by stwierdzić, że pod tym względem jest u nas bardzo źle. Konstatując ten fakt, nie odkrywamy tu oczywiście Ameryki: rzecz jest znana i stanowi od dość dawna przedmiot troski językoznawstwa normatywnego i wszystkich miłośników ojczystego języka.

Spośród wielu nasuwających się spraw ograniczymy się do jednej. Jest nią panoszenie się językowego chamstwa (a chamstwo jest zawsze przeciwieństwem kultury), wyrażającego się w nagminnym używaniu w miejscach publicznych wyrazów nieprzyzwoitych, obscenicznych: „przerywników” czy „przecinków”, tzn. tak samo, jak używa się takich

„pustych” znaczeniowo wyrazów jak *prawda, nieprawdaż, wiesz, rozumiesz* itp. Najczęstszym – i dziś już chyba, niestety, stosunkowo najłagodniejszym – z tych „przerywników” jest wyraz *kurwa*.

Jesteśmy dalecy od tego, żeby – jak się tego niektórzy w przesadnej gorliwości domagają – próbować usunąć ten wyraz z naszego języka. Skoro istnieje desygnat, musi istnieć i wyraz, a potrzeby ekspresywne języka wymagają, żeby – niezależnie od istnienia i przydatności różnego rodzaju eufemizmów, omówień, określeń ogólnych i złagodzonych – był także wyraz nazywający rzeczy wprost i bez ogródek. No bo jakże w końcu nazwać kobietę, której postępowanie kwalifikuje ją do takiego określenia, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi silne zaangażowanie emocjonalne (gniew, oburzenie, wściekłość itp.) – jeśli nie *kurwą*? Przecież nie *prostytutką*, bo to nie to samo (prostytutka to zawód, a *kurwa* to charakter – według powszechnie znanego celnego powiedzenia) i nie osobą lekkich obyczajów, podejrzaną konduity, złego prowadzenia itp., bo te eufemistyczne określenia pozbawione są zupełnie ładunku ekspresywnego zawartego w wyrazie *kurwa*. Na marginesie już dodajmy, że wyraz nie jest bynajmniej wynalazkiem naszych czasów: ma on bogatą dokumentację źródłową od średniowiecza, okraszoną niejednym wielkim nazwiskiem naszej literatury.

Największej rzecz ujmując – z *kurwą* jest podobnie jak z wielu innymi tego rodzaju wyrazami, które same w sobie nie są grzechem przeciw kulturze języka, jest takim grzechem natomiast ogromna większość wypadków ich użycia.

Wciąż jeszcze stanowczo za mało do powszechnej świadomości przenika zrozumienie faktu, iż nie wykraczając przeciw zasadom kultury języka można użyć bez mała wszystkich wyrazów i form istniejących w zasobie środków językowych – trzeba tylko wiedzieć, kiedy i w jakich okolicznościach. Co w jednej sytuacji uchodzi, w drugiej jest absolutnie nie do przyjęcia. Jest to trochę tak, jak z ubraniem czy sposobem jedzenia. W domu, w kręgu najbliższej rodziny, bez specjalnych wyjaśnień, przeproszenia czy pytania o pozwolenie zdejmuję marynarkę; podobnie postępuję w gronie bliskich przyjaciół, dobrych znajomych; w sytuacjach uroczystych czy bardziej oficjalnych pytam o zgodę, a w najbardziej uroczystych i oficjalnych, np. na uroczystości nadania mojemu Profesorowi doktoratu honoris causa, w ogóle mi do głowy nie przyjdzie myśl, by zdjąć marynarkę, choćbym nawet spływał potem. Inaczej ubieram się do teatru, inaczej na spacer, inaczej na rajd czy wycieczkę, a jeszcze inaczej do kopania ogrodu. Podobnie na harcerskim biwaku, na szlaku turystycznym itp. nikogo nie razi jedzenie przypieczonych nad ogniem kiełbasek wprost z patyka lub zgoła rękami – niechbyśmy jednak spróbowali jeść rękami kiełbaskę w eleganckiej restauracji lub na uroczystym przyjęciu!

Jak więc widzimy, nasze zachowanie podlega pewnym konwencjom, zależnym od sytuacji. Zespół tych konwencji zdeterminowany jest właśnie przez kulturę. W określonych

sytuacjach konwencja przewiduje określone rodzaje zachowań. Dotyczy to także naszych zachowań językowych. Dające się niekiedy słyszeć żądanie, abyśmy zawsze, w każdej sytuacji mówili jednakowo (w intencji autorów takiego postulatu, jednakowo poprawnie, tzn. bardzo poprawnie, „sterylnie”) – jest nie do przyjęcia i równie niemożliwe, jak niemożliwe byłoby żądanie, abyśmy zawsze jednako się ubierali (a więc np. w elegancki garnitur, modną koszulę i krawat – na wycieczkę) czy zawsze jednakowo ceremonialnie jedli.

Są sytuacje, w których użycie dobitnego, nawet obscenicznego wyrazu czy określenia jest nie tylko dopuszczalne, ale wręcz wydaje się stylistycznie najwłaściwsze. Ostatecznie, o ile mi wiadomo, nikt nie potępił ani nie potępia generała Cambronne’a. Nie może jednak ulegać najmniejszej wątpliwości, że są to wypadki szczególne i rzadkie. Nagminne używanie wyrazów tzw. „brzydkich”, zwłaszcza w funkcji ekspresywnych wykrzykników i „pustych” znaczeniowo „przerywników”, w miejscach publicznych: na ulicy, w parku, w tramwaju, autobusie, pociągu, kinie, na koncercie itp., w obecności ludzi nieznanymi, starszych, kobiet, młodzieży i dzieci – jest oczywistym i ciężkim wykroczeniem przeciw kulturze językowej i tym samym w ogóle kulturze życia codziennego. Skazuje to przecież na wysłuchiwanie wytworów chamstwa językowego ludzi, którzy nie mają na to najmniejszej ochoty, więcej: których takie pornofemizmy krępują, obrażają czy wręcz znieważają; wystawia na nie młodzież i dzieci, które w żadnym wypadku słuchać tego rodzaju „wiązanek” nie powinny. Słowem, zadaje gwałt wszystkim, którzy mają pełne prawo – także prawo w sensie instytucjonalnym, zagwarantowane przez obowiązujące ustawodawstwo – oczekiwać, że w miejscach publicznych na takie seanse wulgarności i chamstwa nie będą narażeni.

Historyk języka jest z natury rzeczy ostrożny w swoich sądach. Pamięta, że narzekania na stan kultury językowej społeczeństwa mają długą tradycję. Właściwie żadna epoka – odkąd źródła pozwalają wyrobić sobie w tej kwestii jakieś zdanie – nie była zadowolona ze współczesnego jej stanu społecznej praktyki językowej. Prawdą jest i to, że o dziejach języka mówionego – w przeciwieństwie do pisanego – mamy na skutek szczupłości źródeł bardzo niedoskonałe wyobrażenie. Mimo to wydaje się nie ulegać wątpliwości, że takiego jak dziś zalewu prymitywizmu, prostactwa i chamstwa w codziennym języku mówionym nie znała na tę skalę żadna epoka dziejów polszczyzny. Deprymujący i niepokojący jest fakt, iż w języku osobniczym wielu Polaków najczęstsze wyrazy to pornofemizmy, używane w najrozmaitszych kontekstach i funkcjach. Ich statystyczna dominacja niesłychanie uboży język, który winien być przecież cenionym dobrem kulturalnym, przedmiotem troski i opieki, dziedzictwem przekazywanym w nienaruszonym stanie z pokolenia na pokolenie, zapewniającym trwałość i ciągłość narodowej tradycji.

(Dokończenie na stronie 24)